

Joseph Kardynał RATZINGER

DZIESIĘĆ LAT PONTYFIKATU JANA PAWŁA II

Chodziło mi o ukazanie jedności urzędu i osoby w postaci Jana Pawła II. On rzeczywiście „zidentyfikował” siebie z Kościołem i dlatego może być jego głosem.

Jan Paweł II jest tym zapewne spośród nas żyjącym współcześnie człowiekiem, który osobiście spotkał daleko więcej ludzi, niż ktokolwiek inny. Niepodobna wręcz zliczyć tych, którym uścisnął dłoń, z którymi rozmawiał, z którymi się modlił, którym błogosławił. Gdzie jego urząd stwarza dystans, tam przekracza go zaraz promieniowanie jego osobistej bezpośredniości. Nawet ludzie prości, niewykształceni, ubodzy nie mają w jego obecności tego poczucia oddalenia, nieosiągalności czy lęku, które zwykle nam towarzyszy już w poczekalniach wybitnych osobistości. Kto zetknął się z Papieżem, odniósł wrażenie, jakby spotkał osobę od dawna sobie znaną, jakby rozmawiał ze swym bliskim krewnym, jakby obcował z przyjacielem. Tytuł „Ojcze!” przestaje dla niego być samym tytułem tylko, a staje się wyrazem stosunku, jaki rzeczywiście wobec niego żywi.

Jana Pawła II znają dziś wszyscy: znają jego twarz, sposób poruszania się i mówienia, jego zatopienie się w modlitwie, jego spontaniczną pogodę. Niektóre z jego słów zapadły w nas w sposób niezapomniany, poczynając od owego żarliwego wezwania, poprzez które przedstawiał się ludziom na progu swego pontyfikatu: „Nie lękajcie się otworzyć bram Chrystusowi!”. Dołączają się do nich i te słowa: „Nie można żyć na próbę, nie można kochać na próbę!”. Streszczają one i wyrażają samo sedno jego pontyfikatu. To tak jakby zupełnie niczego innego nie chciał, jak tylko Chrystusowi drzwi wszędzie otwierać, a zarazem wszystkim wskazywać bramę, która jedynie prowadzi do rzeczywistego życia, do rzeczywistej miłości. Jeśli w imię Ewangelii bez wytchnienia podróżuje „aż po krańce ziemi”, jak to czynił niegdyś Paweł, jeśli do każdego pragnie się zbliżyć i żadnej sposobności nie zaniedbuje, by przepowiadać, to nie chodzi mu o reklamę czy popularność. Tu dochodzi do głosu słowo Apostoła: „miłość Chrystusa przynagła mnie” (por. 2 Kor 5, 14). W jego bliskości czuje się: jemu o człowieka chodzi, gdyż o Boga mu chodzi.

Jana Pawła II poznaje się bliżej bodaj i lepiej, kiedy sprawując wraz z nim Eucharystię pozwala mu się wprowadzić w skupioną ciszę jego rozmo-

dlenia, aniżeli gdy się tylko studiuje jego dzieła czy przemówienia. Albowiem uczestnicząc w jego modlitwie wkracza się w krąg tego, co dla jego osoby najbardziej własne, swoiste, a co wymyka się wszelkim ujęciom słownym. Chyba też tylko z wnętrza tego osobowego centrum wyjaśnia się dopiero i ta zagadka, dlaczego ten wielki intelektualista, którego ważki głos liczy się w kulturowym dialogu współczesności, umie zarazem promieniować prostotą, która każdego ujmuje. Tym również tłumaczy się inna, ważna – a tak bardzo znamionująca Papieża z Polski – synteza. To przecież on zastąpił klasyczne „My” papieskiego stylu na osobowe i osobiste „ja” pisarza i mówcy. Nie można przecenić tej stylistycznej rewolucji. Podziałała ona na nas zrazu jako coś, co zaskakuje, choć od dawna jest oczekiwane, niczym zdjęcie starej peruki, która już razi w naszym świecie. Nie wolno jednak także zapomnieć, iż to „My” było czymś przecież więcej niż tylko retorycznym zwrotem. Gdy mówi Papież, nie mówi we własnym tylko imieniu. Wówczas liczą się nie prywatne teorie czy zapatrywania, jakie on sam zdołał sobie z upływem czasu wypracować, nawet gdyby one reprezentowały same z siebie wysoki poziom intelektualny. Papież nie mówi jako prywatny uczony, na poczet swego własnego „ja”, niczym solista na scenie dziejów kultury. Mówi z wnętrza „my” wiary całego Kościoła, w obliczu którego musi ustąpić „ja”. Przychodzi mi tu ciągle na myśl wielki papież-humanista, Pius II, Enneas Sylwiusz Piccolomini, który z wnętrza „my” swego urzędu musiał niejedno powiedzieć, co przeczyło teoriom uczonego humanisty, jakim był przedtem. Gdy zaś mu na te sprzeczności zwracano uwagę, zwykł był odpowiadać: Eneam recite, Pium recipite. Odsuńcie na bok Enneasza (Piccolominiego), trzymajcie się Piusa, papieża. Tak też nie jest bynajmniej rzeczą bezpieczną pod niejednym względem zastępować „my” przez „ja”. Kto jednak studiuje papieskie i osobiste dzieło Jana Pawła II, ten bez trudu rozpozna, jak ten Papież doskonale umie rozróżniać pomiędzy ściśle osobistą twórczością Karola Wojtyły a swym własnym nauczaniem jako Papieża; ten może też jednak z łatwością dostrzec, iż nie biegną one dwoma różnymi torami, przeciwnie, wyraża się w nich ta sama – ukształtowana wiarą Kościoła – osobowość. Ta właśnie osobowość wyrażająca się poprzez „ja” pozostaje tu całkowicie w służbie „my”. „Ja” nie spycha owego „my” w subiektywną sferę prywatnych zapatrywań, przeciwnie, daje mu tylko zewnętrzny kształt własnej osobowości, która – ukształtowana ze swej strony poprzez to „my” – staje do jego dyspozycji.

Sądzę, że właśnie to – owocujące dojrzałością życia i myślenia z wnętrza wiary – stopienie w jedno „my” i „ja” decyduje w istotny sposób o tym, czym tak fascynuje postać tego Papieża. To ono właśnie umożliwia mu tę całkowitą i samooczywistą swobodę poruszania się w ramach pełnionego przez siebie urzędu. To ono pozwala mu jako Papieżowi pozostać w zupełności samym sobą bez obawy zepchnięcia swego urzędu na mielizny subiektywizmu. W jaki jednak sposób wyrosła ta wewnętrzna jedność? W jaki spo-

sób osobista droga wiary, myślenia i życia prowadziła tak całkiem prosto w sam środek Kościoła? Pytanie to wykracza daleko poza samą chęć poznania szczegółów życiorysu. Gdyż właśnie całkowite „utożsamienie” się z Kościołem bez cienia obłudy i jakiegokolwiek wewnętrznego pęknięcia wydaje się dziś dla wielu walczących o swą wiarę czymś niemożliwym. Wszak we współczesnej teologii stało się niemal rodzajem modnej kokieterii poruszanie się na granicy krytycznego dystansu wobec wiary Kościoła i zaręczanie wręcz czytelnika, jak bardzo daleki jest zwracający się do niego autor od naiwności i bezkrytycznej służalczości, aby swe myślenie oddać bez reszty w służbę wiary. Efekt tego jest taki, iż wiara zostaje zdewaluowana, lecz pochopne pomysły teologów bynajmniej nie zostają przez to dowartościowane; przeciwnie, starzeją się szybciej niż rodzą. Wszystko to rozbudza na nowo wielkie zapotrzebowanie na wiarę, która umie sprostać wyzwaniu intelektualnej rzetelności i potrafi zarazem dać siłę do życia.

Powołanie Karola Wojtyły skryształizowało się, gdy w czasach okropności wojny i okupacji pracował w fabryce sody. Sam potem uznał doświadczenie uzyskane w czasie czteroletniego pobytu w środowisku robotniczym za istotnie rozstrzygające o kształcie jego życia. To tam właśnie studiował filozofię wczytując się mozolnie w podręczniki, których świat pojęć zaskoczył go zrazu niczym nieprzenikniona dżungla. Jego miłością pierwszą była jednak filologia, miłość do języka, której studium łączył z artystycznym podejściem do żywego słowa jako środka ukazywania rzeczywistości za pomocą nowej formy teatru. Tak oto kształtowała się owa „filozofia”, która tak bardzo charakteryzuje naszego Papieża: polega ona na myśleniu w zderzeniu z konkretem, na myśleniu opierającym się na wielkiej tradycji, lecz zarazem nieustannie szukającym potwierdzenia jej w teraźniejszości. Polega na myśleniu z pozycji artystycznego oglądu i na myśleniu kierowanym duszpasterską troską: na myśleniu z pozycji troski o człowieka, któremu się pragnie wskazać drogę.

Wydaje mi się rzeczą interesującą pójść śladem głównych autorów, z którymi się Wojtyła spotkał. Pierwszym był, jak to sam powiedział w swych rozmowach z A. Frossardem¹, podręcznik wprowadzenia do metafizyki. Podczas gdy inni na ogół poprzestają na próbie jako takiego przyswojenia sobie do egzaminu wewnętrznej logiki wyłożonego aparatu pojęciowego, u Wojtyły zaczęło się zmaganie o rzeczywiste zrozumienie, czyli o uchwycenie relacji pomiędzy pojęciem a doświadczeniem, i w rzeczywistości, po dwu miesiącach zmagania przyszło „olśnienie”: „Nie przesadzę, jeśli powiem, że świat, którym żyłem dotąd w sposób intuicyjny, a także emocjonalny, został od tego czasu potwierdzony i uzasadniony na gruncie racji najgłębszych i zarazem najprostszych”². Potem przyszło spotkanie z Maksem Schelerem, a

¹ A. Frossard, *Rozmowy z Janem Pawłem II*, Rzym 1982 s. 18 – 19.

² Tamże, s. 19.

przez niego także z „fenomenologią”. Ten kierunek filozoficzny stawiał sobie za cel odkryć – pomimo nie kończącego się sporu o granice i możliwości ludzkiego poznania – na nowo świat samych rzeczy, tak jak one się jawią w swej różnorodności i bogactwie. Ta przylegliwość widzenia, rozumienie człowieka nie z pozycji abstrakcji i pryncypiów, lecz dzięki pełnemu miłości ujęciu jego rzeczywistości stało się i pozostało czymś rozstrzygającym dla sposobu myślenia Papieża. Już dużo wcześniej, jeszcze przed powołaniem do kapłaństwa, spotkał się on z twórczością świętego Jana od Krzyża, który odsłonił przed nim świat wnętrza, świat „duszy dojrzałej łaską”. Tak oto to co metafizyczne, mistyczne, fenomenologiczne i estetyczne współgrając ze sobą i przenikając się wzajemnie, stawia spojrzenie w obliczu wielopłaszczyznowości rzeczywistości i daje ostatecznie jedyne, wszystko w jedno scalające jej oglądanie, które stając naprzeciw tego, co mu się wprost przedstawia, zauważa, iż rozumie je dopiero wtedy, gdy je przekracza. Kryzys teologii soborowej jest w znacznej mierze kryzysem jej podstaw filozoficznych: filozofii wykładanej w uczelniach teologicznych brakowało wrażliwości na pełnię rzeczywistości, brak było jej fenomenologii, brakowało jej wymiaru mistycznego. Tam jednak gdzie nie zostają wyjaśnione same filozoficzne podstawy, tam teologia traci swój grunt dla siebie. Wtedy bowiem przestaje być jasne, na ile człowiek w ogóle dociera do rzeczywistości, w oparciu o co może myśleć i mówić. Dlatego wydaje mi się zrzędzeniem Opatrzności, że w taki właśnie czas na Piotrową Stolicę wstępuje „filozof”, który filozofię uprawia nie jako wiedzę podręcznikową, lecz w zmaganiu się o prawdę swego istnienia pośród rzeczywistego świata, w spotkaniu z poszukującym, nękanym pytaniami, człowiekiem.

Tematem głównym filozofii Karola Wojtyły był i pozostał człowiek. Na jego zainteresowaniach naukowych wyciska się coraz bardziej piętno powołania duszpasterskiego. Na tym też tle rozumie się, że współpraca nad soborową Konstytucją o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*, której tekst naznaczony jest w decydującej mierze troską o człowieka, stanowi jedno z ważnych doświadczeń przyszłego papieża. „Człowiek jest drogą Kościoła” – ta na wskroś konkretna i całkiem radykalnie ukazująca potrzebę sięgnięcia samych głębi tematyka – stała zawsze i stoi w centrum jego myślenia, które zarazem jest działaniem. Tym też tłumaczy się, dlaczego w centrum jego zainteresowań teologicznych stanął problem teologii moralnej. I to był także doniosły ludzki wkład w urząd najwyższego pasterza Kościoła. Kryzys w dziedzinie filozoficznego myślenia ujawnia się bowiem po stronie teologii najostrzej i oddziałuje najdotkliwiej jako kryzys nauczania teologiczno-moralnego. Właśnie tu wzajemny związek filozofii i teologii, związek pytania rozumu o człowieka i powołania teologa, staje się tak widoczny, iż niepodobna mu się wywinąć. Tam gdzie odwieczna metafizyka upada, tam również przykazania Dekalogu tracą swą spoistość wewnętrzną, tam zaraz

narasta bardzo pokusa, by je umieścić w obszarze tego li tylko, co historyczno-kulturowe. Wojtyła nauczył się od Schelera sztuki niespotykanego przedtem wczuwania się w istotę dziewictwa, małżeństwa, macierzyństwa i ojcostwa, języka ciała, a przez to wnikania w istotę miłości. W swe realistyczne myślenie włączył nowe doświadczenia personalizmu, lecz przez to odsłonił na nowo, że i samo ciało mówi, że stworzenie mówi i że ukazuje kierunki działania. Nowożytne myślenie odsłoniło przed teologią nowy wymiar, a Wojtyła – wierny powołaniu duszpasterza i myśliciela – uchwycił tenże wymiar w jego wewnętrznej więzi doświadczenia i refleksji, a zarazem ujął go w jego łączności z wielkimi tematami tradycji.

Jeszcze jedna rzecz była niezmiernie ważna dla tej drogi życia i myśli, dla tej jedności doświadczenia, myślenia i wiary. Wszak całe owo zmaganie się tego człowieka nie dokonywało się w jakimś tylko bardziej lub mniej prywatnym zamkniętym kręgu, w obrębie danej tylko fabryki czy seminarium. Dokonywało się ono w ogniu wydarzeń wielkiej historii. To, że Wojtyła pracował w fabryce, wiązało się z uwięzieniem jego uniwersyteckich nauczycieli. Spokojna kariera akademicka została przerwana i zamieniona w straszliwie surową naukę życia pośród ciemzonego narodu. Już sama przynależność do tajnego seminarium Kardynała Sapielhy była jako taka uważana za akt oporu. Tak oto pytanie o wolność, o godność i prawa człowieka, o polityczną odpowiedzialność człowieka wierzącego weszło w myślenie młodego teologa nie jako teoretyczny tylko problem. Stało się ono w najwyższym stopniu realną i konkretną udręką jego czasu. A przy tym szczególne położenie Polski na styku Wschodu i Zachodu stało się raz jeszcze dziejowym przeznaczeniem tego kraju. Ze strony krytyków Papieża słyszy się często zarzut, iż jako Polak, zna on jedynie tylko uczuciową, tradycyjną pobożność swego kraju i że dlatego nie jest w stanie zrozumieć w pełni skomplikowanych problemów świata zachodniego. Trudno o bardziej naiwny zarzut, i o bardziej kompletną nieznaną historię, jaką zarazem stawiający ten zarzut obnażają. Wystarczy przeczytać choćby encyklikę *Slavorum Apostoli*, by się przekonać, jak właśnie polskie dziedzictwo ukierunkowało myślenie Papieża w kategoriach wielości kultur. Ponieważ Polska leży na skrzyżowaniu wielu kultur, ponieważ stoi na przecięciu tradycji germańskiej, romańskiej, słowiańskiej i grecko-bizantyjskiej, zagadnienie dialogu wśród rozłączonych chrześcijan i pomiędzy różnorodnymi kulturami jest na jej terenie pod wieloma względami bardziej palące niż gdzie indziej. I tak też właśnie ten Papież jest bardziej ekumeniczny i bardziej misyjny, także w tym punkcie opatrnościowo przygotowany do podjęcia wyzwania czasu po II Soborze Watykańskim.

Wróćmy raz jeszcze do duszpasterskiego, antropologicznego zaangażowania Papieża. „Człowiek jest drogą Kościoła”. Prawdziwy sens tego przez niektórych opacznie rozumianego zdania encykliki o „Odkupicielu człowie-

ka” staje się dopiero wówczas widoczny, gdy się pamięta, że dla Papieża „człowiek” to w pełnym swym znaczeniu Jezus Chrystus. Jego pasja dla człowieka nie ma nic wspólnego z zadowoloną z samej siebie antropocentryką. Antropocentryka ta sama siebie rozbija mocą swego niepohamowanego pędu w górę. Usiłując wyeliminować Boga jako konkurenta człowieka, antropocentryka ta od dawna już zresztą przerodziła się w rodzaj mdłości w stosunku do człowieka. Człowiek wcale dziś nie chce więcej uważać się za centrum świata: lęka się wynikających z tego swych niszczycielskich mocy. Tam bowiem gdzie człowiek zajmuje – kosztem Boga – centralne miejsce, tam też zostaje zrujnowana wszelka proporcja wag. Tu dochodzi do głosu słowo Listu do Rzymian, że całe stworzenie wspólnie wdycha i współboleje bólem człowieka (por. Rz 8, 22); podeptane przez Adama oczekuje na pojawienie się dzieci Bożych, na ich wyzwolenie (por. Rz 8, 19. 21). Właśnie dlatego, że Papieżowi tak bardzo o człowieka chodzi, chciałby on na oścież Chrystusowi bramy otwierać. Albowiem tylko poprzez wejście Chrystusa do ludzkiego wnętrza, dzieci Adama mogą się stać dziećmi Bożymi, a człowiek wraz z całym stworzeniem wejść w przestrzeń wolności. Stąd też antropocentryka Papieża jest w swej głębi teocentryką. Podczas gdy jego pierwsza encyklika zdawała się koncentrować bez reszty na człowieku, to trzy jego kolejne wielkie, teologiczne encykliki razem wzięte zwały się same z siebie w trynitaryczny tryptyk³. Antropocentryka Papieża jest teocentryką, ponieważ jego duszpasterskie powołanie karmi się i żyje modlitwą, ponieważ jego doświadczenie człowieka płynie z doświadczenia wspólnoty z Bogiem, to ona nauczyła go rozumieć człowieka.

I jedno jeszcze musimy dodać: jego głęboka miłość do Maryi jest zapewne w pierwszym rzędzie dziedzictwem jego polskiej ojczyzny. Lecz encyklika o Maryi pokazuje, jak ta maryjna pobożność została do głębi biblijnie prze-modlona i przeżyta. Podobnie jak filozofia poprzez fenomenologię, poprzez oglądanie uobecniającej się rzeczywistości stała się żywym konkretem, tak też i stosunek do Chrystusa nie zatrzymał się na poziomie abstraktu wielkiej prawdy dogmatycznej, lecz zamienił się w konkret ludzkiego spotkania z Panem w całej Jego rzeczywistości i w ten sposób – z konieczności – w spotkanie również z Jego Matką, w której wierzący Izrael: modlący się Kościół – stał się sobą. I znowu jest tak, że z tej dopiero bliskości, która odsłania tajemnicę Chrystusa w całym bogactwie Jego boskiej i ludzkiej pełni, stosunek do Pana uzyskuje swe ciepło i żywotność. A wszystko to rzutuje naturalnie wstecz na cały obraz człowieka, skoro odpowiedź wiary z jego strony właśnie przybrała swój kształt raz na zawsze poprzez kobietę, przez Maryję.

Co chcę przez to wszystko powiedzieć? Chodziło mi o ukazanie jedności urzędu i osoby w postaci papieża Jana Pawła II. On rzeczywiście „zidentyfi-

³ Encykliki: *Redemptor hominis*, *Dives in misericordia*, *Dominum et Vivificantem*.

kował” siebie z Kościołem, i dlatego może też być jego głosem. Wszystko to zostało powiedziane nie po to, by chwalić człowieka. Zostało powiedziane, by pokazać, że wiara nie wyklucza myślenia, że wiara nie musi też wcale wyłączać poza nawias doświadczenia naszego czasu – wręcz przeciwnie: właśnie wiara, ona dopiero użycza myśleniu jego głębi, doświadczeniu zaś jego sensu. Człowiek wyzwala samego siebie nie przez to, że staje się solistą, lecz przez to, że odnajduje więź, do której przynależy.

Dziesięć lat pontyfikatu Jana Pawła II. – Zasięg jego orędzia wydaje się już dziś niemal niewymierny. Chciałem spróbować w kilku rzutach wskazać na działające w jego głębi siły napędowe, a przez to uczynić bardziej zrozumiałym kierunek, na jaki to orędzie wskazuje. Oby Pan zachował nam na długi czas tego Papieża jako Przewodnika na drodze w trzecie tysiąclecie chrześcijańskiej historii!

Rzym, w uroczystość świętego Augustyna 1987 roku

Tłum. *Tadeusz Styczeń SDS*